CHORZY

I

ZDROWI

PRZEZ

Z. KLIMAŃSKĄ

(Zofiję z Brzozówki).

Tom II.

WARSZAWA.

Nakładem Redakyi Opiekuna Domowego.

1873.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 18 Декабря 1873 года.

W Drukarni J. Jaworskiego Krakow. Przedm. Nr. 415.

IX.

Wyleciał ptaszek ze złoconej klatki,
Porzucił ojca—i wyrzekł się matki:
Narzeką matka i ojciec wyklina,
Nic nie pomoże—z lubym już ptaszyna.
Samiście winni ojcowie i matki,
Że zamykacie ptaszynę do klatki.

Najmłodsza córka hrabiów trzynastoletnia Lucynka, była istotnie podobną do Elfrydy z twarzy i charakteru. Rodzice szczególniej ją kochali, bo piękna Lucynka miała milijon w posagu.... Byłto zapis od ciotki bogatej a bezdzietnej wdowy. Wola panny Lucyny była rozkazem dla całego domu. Matka sama wychowywała i kształciła Lucynkę, w siódmym roku zaczęła ją uczyć abecadła na francuskim elementarzu, w dziewiątym mówiła z nią paryskim akcentem, a w jedynastym nawet w ojczystym języku wyrażać się ją jakoto wprawiła. Elfryda prosiła aby jej powierzono dalsze wykształcenie Lucynki—ale oparli się temu rodzice, sprowadzili guwernantkę z Anglii miss Ara-

bellę Dickson i metra śpiewu z włoch Romea Vinturelli. Miss Arabella niemłoda, nie hołdownica mody, nosiła to w czym jej było wygodniej, choćby to dla kogo śmiesznym być miało. Modą było —plątać się w długiej sukni—miss nosiła krótką. Modą było—nosić kapelusze, nieocieniające nosa; miss nosiła kapelusz z szerokiemi skrzydłami, osłaniający ją od słońca i deszczu. Modą było—trefić sztucznie włosy siedząc przed zwierciadłem po kilka godzin, miss zgarnąwszy lniane swe warkocze zapinała je grzebieniem, nie trawiąc ani kwandransa przed lustrem.

Miss była literatką, podróżnicą, samoistną, prawdziwą córką swobodnej Anglii, nienawidzącą przymusu. Chcąc zwiedzić nieznane jej kraje, przyjęła obowiązek guwernantki, z warunkiem zachowania niepodległości, obok spełniania swoich powinności.

Signor Romeo klasycznych rysów twarzy, oczu i włosów czarnych, cery bladawej, był ognisty w słowie, wyrazisty w giestach. Dowcipem nie celewoł, lecz niebrakło mu satyry, jako synowi kraju, gdzie więcej było łez niż śmiechu. Gdy się oburzał na zło powszechne, wpadał w szlachetny zapał, który musi wywołać współczucie w każdej poczciwej duszy. Śpiew i muzykę znał doskonale

i miał gruntowniejsze wykształcenie, zbyt rzadkie między śpiewakami.

Lucynka, w kilka miesięcy po przybyciu miss Arabelli witała się już po angielsku, nosiła krótkie suknie, kapelusz z szerokiemi skrzydły, uczyła się pływania i konnej jazdy. Wychuchana panienka, chodziła po majowej rannej rosie, oblewała się zimną wodą w każdej porze roku; piła piwo i porter, przechadzała się po ogrodzie sama jedna z mężczyznami, bo tak się dzieje w Anglii i Ameryce;—i dzieje się dobrze—podług tamecznych praw i obyczajów.

Hrabiostwo ulegało ekscentrycznym zwyczajom angielki, nie bacząc na to: że nawet przesadzanie roślin z jednego nieba pod drugie rzadko się udaje.—Rozumną jest brzoza—że obok palmy usycha, rozumną jest palma—że obok brzozy nie siada.—Czyż nie wstyd ludziom—od tego bezwiednego rozumu własną wolą stać niżej? Nieodrzucajmyż przestróg od roślin, gdy je przyjął Balaam od oślicy.

W muzyce i śpiewie postęp był również widoczny. *Soprano* czyste i wdzięczne Lucynki, zlewało się z melodyjnym tenorem Romea; czarne jego oko tonęło w szafirowym oku dziewczęcia. Gdy Włoch po czarującym duecie dotknął w uniesieniu ręką

ramienia Lucynki, drgało dziewcze jakby od elektrycznej iskry i spuszczało oczy. Hrabiostwo oczarowane talentem córki, niewidziało ani tych źrenic tonących w sobie nawzajem, ani drgnienia elektrycznego.

Tak upłynęły trzy lata, a w sercu dziewczęcia obraz Romea, słoneczna jego ojczyzna miłemi usty wyśpiewana, coraz szersze zajmowały miejsce. Gdy miss Arabella jej opowiadała o swojej po Indyjach podróży, Lucynka tęskniła do palm i rajskich ptaków; rodzinna płacząca brzoza, pod którą szuka cieniu rolnik zmordowany, powiewna wierzba, której gałązki święcą w kwietnią-niedzielę, posępna jodła ocieniająca wiejską mogiłę, jakże nędznemi jej się wydawały. Gdy Romeo klął zimę wzdychając do swej kwiecistej ojczyzny, a kraj Lucynki nazywał lodownią, w której nawet uśmiech zamarza na ustach, Lucynka także drżała od chłodu, wschód słońca był dla niej zmierzchem, a ziemia w białej czamarze trupem.

Romeo z Lucynką czytywali poezyje i powieści włoskie, w których miłość i intryga główną jest treścią. Dziewcze w gorączce rumieniło się i bladło przenosząc się myślą pod błogie niebo Auzonii. Romeo sam tworzył poezyje—wierszując fale morza, woń kwiatów i zefir miłośny. Hrabio-

stwo rade, że córka tak ślicznie mówi po włosku, niewiedziało co szemrzą domowi i blizsi sąsiedzi o włochu i Lucynie.

Strzelec czatujący na zwierzynę w nocy, widział raz dwa cienie błądzące po ogrodzie przy świetle księżyca. Jeden cień padał na kolana przed drugim, znowu się podnosił, i znowu błądziły oba wziąwszy się za ręce. Twarze ich odbijały się na białej marmurowej najadzie stojącej nad jeziorem. Jednej rysy męskie, wydatne jak starożytna kamea; drugiej—delikatne, dziewicze, jakby ożywionej Mildy.

Córa Albionu co noc do świtu czytała lub pisała swoje pamiętniki; Lucynka mieszkając z nią w jednym pokoju wcześniej spać się kładła: lecz gdy raz o północy mocny ból głowy uczuła, miss jej poradziła pójść do ogrodu, odświeżyć się powietrzem. Wszak po ogrodzie nie chodziły lwy ani tygrysy jak w afrykańskich pustyniach, nie było przeto żadnego niebezpieczeństwa; znalazł się tam i Romeo—szukający w promieniach księżyca natchnienia do nowego sonetu i najniespodzianiej spotkali się z sobą.

Senne łabędzie pływały po cichym jeziorze, ptaszęta zasypiając szeptały między sobą; Romeo półgłosem ubierał księżyc i Lucynę w pieszczone

i melodyjne słowa. Dziewcze słuchało z zachwytem tych improwizacyj, a włoch—śpiewak był dla niej arcy-mistrzem poezyi i czarodziejem serca.

Dnia pewnego zebrali się liczni goście do hrabiów. Modne panie prosiły Lucynkę o pokazanie najnowszych dzienników mód. Wyszła po nie do bliskiego pokoju, a porządkując rozrzucone ryciny, słyszała taką rozmowę w salonie:

— Słyszeliście państwo o okropnym wypadku, zaszłym w domu książąt L.?

— Cóż takiego?—zapytało kilka głosów.

— Córka ich wyszła tajemnie za mąż, za jakiegoś guwernera francuza.

— A to skaranie boże!—wolałabym widzieć mą córkę na marach, niż żoną jakiegoś guwernera—rzekła z uniesieniem hrabina.

— Jabym na sam cień podejrzenia zamknął córkę w klasztorze, a zuchwalcowi dał *dotykalną nauczkę*, i wypędził z domu—rzekł hrabia.

Lucynka słyszała te słowa w drugim pokoju, wypadały z rąk jej dzienniki, weszła do salonu tak blada i zmieszana, że matka się przelękła.

— Co ci jest moje dziecko?—spytała strwożona.

— Nic mamo, nic—głowa mnie boli—trzeba mi powietrza—i z temi słowy wybiegła na ganek, a rozmowa szła dalej.

— Panie hrabio, pozwól sobie powiedzieć, że niebezpiecznego masz w domu włocha—rzekł dobroduszny pan Roch.

— Nasza córka ani serca, ani ręki nie odda byle przybłędzie.....

— Zapewna, że pretendent panny Lucyny, będzie godnym jej ręki, a zatym i waszego zezwolenia—odezwał się podkomorzy.

— Godność—wybór dziewczyny—są to rzeczy bardzo względne i warunkowe, które przejść muszą przez sito woli rodzicielskiej.

— Przez to sito o którym pan hrabia mówi, przesiewa się nieraz i szczęście dzieci. Ale czasy absolutnej woli mijają.

— Daleko to pono jeszcze do innych czasów—wtrącił zmarszczony p. Tomasz.

Kiedy rozmowa na szersze tory wchodzić zaczęła, przerwał ją gość nowy.

Przyszedł Romeo, okrążyły go piękne panie prosząc by im co zaśpiewał, ale maestro gdy rzucił okiem na nadchodzącą Lucynkę, twarz zmarszczył ponuro—i odmówił pięknym paniom.

— Kapryśny—rzekła hrabina Laura.

— Zepsuty grzecznościami. Może gdzie małpy wodził, a tutaj mu nadskakują za wyciąganie trelów—dorzuciła pani sędzina.

— Jak zwykle u nas—rodzinnych talentów nieumiemy cenić, a byle zagranicznemu szurgotowi, powierzamy to co mamy najdroższego na ziemi— powierzamy dzieci—dodał pan sędzia.

— Z tego jednak włocha nietylko wyborny śpiewak, ale i światły człowiek.

— At!—może jaki wędrowny komedyjant, co niedaj Boże!—pokaże on sztuczkę hrabiom—odezwał się Roch prawdomówny.

Gdy tak sobie panowie o różnych rzeczach gwarzyli, panie znowu zaatakowały włocha prośbami, ale bezskutecznie znowu, uparł się i nieodezwał przez cały wieczór.

Rozjechali się goście i ucichło w pałacu, ale hrabiostwo mocno czymś wzruszone, szeptało coś w sypialnym pokoju. Lucynka tymczasem błąkała się po salonach niby czegoś szukając, niby porządkując, a w istocie—podsłuchując rozmowy rodziców.

— Zuchwalec,—nędznik,—jutro go wypędzę z dobrą na drogę nauczką—mówił gniewnie hrabia.

— Obałamucił dziewczynę, trzeba go skarcić porządnie. A to kara boża—a toż wolałabym ją widzieć raczej na marach.

Słowa—mary,—nędznik,—kara,—wyryły się boleśnie na sercu Lucynki.

— Chcą go znieważyć—wypędzić z domu—zato

że go kocham! Matka woli mnie widzieć na marach niż nazwać go zięciem—rozmyślała Lucynka chwytając się za głowę. Trzeba go ratować—pomyślała nareszcie, poskoczyła z ganku, wyrwała ze swych warkoczy bukiet fijołków, rzuciła nim w okno Romea wołając: *Veni! Veni!*

Chociaż już spóźniona pora, Romeo nie spał trapiony wyrazem smutku na twarzy Lucynki. Usłyszał uderzenie w okno, głos nań wołający i postrzegł Lucynkę, mknącą jak cień przez furtkę ogrodową. Wyszedł natychmiast i w cieniu lip kwitnących zeszli się z sobą oboje.

— Co ci jest—czegoś tak blada? Mów, mów moja najdroższa—rzekł strwożony Romeo.

— Wolą mnie widzieć na marach niż z tobą.

— Kto?—dla Boga!—kto?

— I ojciec i matka..... Chcą cię jutro znieważyć!—Uciekajmy stąd—uciekajmy w tej chwili —przed zniewagą—przed nieszczęściem!

— Bądź spokojną Lucyno, ja się niepozwolę znieważyć. Biada temu ktoby się mnie dotknąć ośmielił! Losu twojego ja z moim łączyć nie mogę. Jam biedny—tyś bogata; jam syn rybaka—tyś hrabianka z domu. W uczuciach tylko równi jesteśmy. O! ty piękna z najpiękniejszych, Romeo cię pożegna, lecz ci do grobu wiernym zostanie.

— Nie—Romeo mnie nie opuści—Romeo cierpi za mnie—życie dla mnie naraża—dla kogóż ja mogłabym go poświęcić? Nie Romeo—ja także nie opuszczę ciebie—ale słuchaj uciekajmy stąd natychmiast—bo ja czuję nieszczęście w powietrzu.

To mówiąc Lucyna upadła na kolana płacząc i załamując ręce.

Romeo kochał ją gorąco, ale lękał się o jej przyszłość zawyrokowaną tak nagle. Ona mu poświęcała wszystko, on jej tylko siebie.

Zrozumiała i oceniła Lucyna tę walkę szlechetnej duszy i tym usilniej chciała go osłonić przed zemstą i zniewagą.

W godzinę potym, Lucyna opuściła dom rodzicielski. Los sprzyjał umykającej parze, usuwając z drogi wszelkie przeszkody.

Znużone brabiostwo spało do południa, po przebudzeniu się usiadło do herbaty; a po herbacie miał hrabia włocha przywołać i zrobić z nim porachunek.

Hrabina niedoczekawszy się córki na zwykłe dzień dobry, poszła do pokoju miss Arabelli, aby o nią zapytać.

Miss zdjęła okulary, zamknęła książkę i najspokojniéj odrzekła patrząc na zegarek:

— Lucynka już od dziesięciu godzin— wyje-

chała z Winturellim do Włoch. Pobłogosławiłam oboje i dałam pieniądze na drogę.

Hrabina w osłupieniu miała tylko siłę wymówić te słowa:

— Lucynka uciekła! I dostała spazmów.

Straszny rozruch powstał w całym domu: hrabia na wszystkie strony rozesłał gońców za zbiegami, ale miłość dodała skrzydeł, bo przed pogonią umknęli.

Hrabiostwo piorunowało na miss Arabellę, grożąc jej zemstą. Córka Wielkiej-Brytanii, niepojmująca innej między ludźmi nierówności, oprócz tej jaką wywołuje wzgarda lub szacunek, przekonywała zrozpaczonych rodziców, że Romeo godnym jest ich córki. Że ten krok gwałtowny wywołali sami groźbą i dumą, a że ona, jako członek cywilizowanej społeczności, miała za obowiązek dopomódz tej poczciwie kochającej się, godnej siebie parze.

W kilka godzin po tej fatalnej wiadomości, zjechali się do hrabiów z kondolencyją żałośną krewni i sąsiedzi.

Jedni radzili straszną zemstę za porwanie Lucynki, inni natychmiastowy rozwód, a inni przebaczenie i błogosławieństwo. Do tych ostatnich

liczyła się Elfryda, na którą napadali rodzice, podejrzewając o wspólnictwo w ucieczce.

— Lucynka podobna do ciebie z twarzy i charakteru. Ona ciebie najwięcej kochając musiała ci powierzyć swój zbrodniczy zamiar. Ty sama będąc ofiarą samowoli serca, poświęcając przyszłość jakimś urojeniom, musiałaś protegować ten niegodny wybór i przyczynić się do zguby siostry—rzekła z płaczem hrabina.

— Moja mamo, od dróg tajemnych zawszem daleka;—do łez rodzicielskich nigdym się nie przyczyniła. Wyboru zaś Lucynki potępić nie mogę, gdyż o ile znam Romea—godnym jest człowiekiem. Boleję tylko nad przyczyną co ją zmusiła do tak gwałtownego postępku.

— Głupie i grzeszne *gadanie!*—zawołał hrabia nie pozwalając więcej ust córce otworzyć.

Gdy jęki, narzekania i różne plany panują w hrabioskich salonach, miss Arabella w swoim pokoju zapisuje w dzienniku ważniejsze dnia wypadki.

2-ga po północy.—Hrabianka Lucyna umknęła z Winturellim. Grzech i biada rodzicom, których ciemnota i duma zmusza własne dzieci, zdobywać szczęście tajemnicą i nieposłuszeństwem. Obaj szlachetni—niech im los szczęści. Już świta, spać idę.

8-ma rano.—Dzień pochmurny, stłukły się okulary, kawa niesmaczna, ciasto z zakalcem, listy i książki nadesłane z Londynu.

Południe.—Brat mój James zbankrutował, żona z pięciorgiem dzieci zostały bez chleba. Poszlę mu natychmiast mój bilet bankowy. James ma rozum, zdrowie i miłość pracy;—ma przyszłość przed sobą. Miss Eva przysłała mi: *Philosophy of the conditioned—J. S. Mill'a.* Rozprawa *O wolności woli*—jasna jak słońce. Możemy być dumni z takiego mędrca.

2-ga po południu.—Mój *Love* zachorował nagle;—nos ma gorący, uszy zimne. Przykładam mu lód do głowy, nic nie pomaga. Posyłam do doktora, dam mu dziesięć funtów sterlingów by go wyleczył. Poczciwy Lowe—był zemną na górze Sinai i do Indyjów razem podróż odbywał.

7-ma wieczór.—Lowe zdrowszy—miał zapalenie mózgu—zbyt wiele szczekał biegając po lesie. Hrabia nazwał rozprawę: *O wolności woli*—bezsensową i barbarzyńską.—Jutro odjeżdżam, nie mogę być dłużej z ludźmi nieumiejącemi ocenić znaczenia *wolnej woli* i pracy takiego mędrca.

Północ.—Kraj tutaj piękny—ludzie poczciwi—lecz chorzy na umysłowe lenistwo.—Niéma tu kamertonu coby na wszechświatową nutę wszystkich

nastroił. Każdy gra po swojemu—a echo roznosząc rozpierzchłe tony, oddala ludzi od wszechharmonii.—Przed drogą wyspać się muszę.

Nazajutrz miss Arabella wyruszyła na powrót do Anglii, wioząc spory zbiór ziół zasuszonych, motyli i owadów.

Hrabina zaprzysięgła wieczną nienawiść guwernantkom angielkom i metrom włochom. Hrabia wyklinał cudzoziemców i takoż zaprzysiągł, że w najdalszym jego pokoleniu, nie będzie nauczycieli ani z Anglii ani z Włoch. Gdy zaś przypominał świeżo zdarzoną ucieczkę księżniczki Idy z guwernerem francuzem, rzucił klątwę i na Francyją.

— Panie hrabio, widocznie bezpieczniej ze swojemi, a tymczasem swoich za nic nie miałeś—powiedział p. Roch.

— Zapowiem setnemu, aby zagranicznych trutniów za swój próg nie przepuszczał—rzekła hrabina.

— Wszakże angielka zacna i oświecona kobieta, signor Romeo również godny człowiek. Lecz najmilej i najzdrowiej własne słońce świeci—najzrozumialszy domowy pacierz. Oddajmy cześć należną każdemu według zasługi, lecz nie wszcze-

piajmy w swoje drzewo obcej latorośli, bo jako różnej natury usychają obie—wtrącił podkomorzy.

— Jeżeli to wada to większość nią grzeszy— odpowiedział na to hrabia.

— Naśladownictwo jest naszą śmiertelną wadą. A małpiarstwo, choćby najdoskonalsze, zawsze jest małpiarstwem—ubliżającym godności człowieka, poniżającym go w szczegółach i najogólniejszym znaczeniu. Z tego wypada: że ci, co o tym nie myślą, nie biorą cudzego rozumu, by go na własny przerobić—lecz sadzą banany obok cebuli, nie pytając słońca czemu u nas po afrykańsku nie pali; podobni są do tych afrykańskich stworzeń—co to rade grzać się przy gotowym ognisku, ale go sami nie umieją rozpalić.

— Słusznie i bez ogródki mówi pan Roch; ten cios lubo bardzo bolesny, wyjdzie zapewne na korzyść hrabiom i im podobnym, bezwzględnym amatorom obczyzny. Mają to być godni ludzie i ta *miss*, i ten *signor*, lecz sprowadzeni tutaj przez próżność: obcy naszemu życiu, zamiast przyniesienia pożytku—przeszli jak wiatr niszczący przez hrabiów rodzinę—rzekła marszałkowa, gawędząc na ustroniu z sędziną.

I tak różni różnie sądzili o tej fatalnej przy-

godzie, i niejeden sam sobie powiedział:—że pożyteczniejszy wróbel domowy niż zamorski koliber.

Gdy dom hrabiów okryty smutkiem, cóż się dzieje z Lucyną?

X.

Aby dusza nie wychłodła;
Trzeba ciągle iść do źródła;
Bo największy Bóg w stworzeniu,
Najdzielniejszy duch w skupieniu.
W. P.

Gdy cienie nocy ustąpiły różanej jutrzence, Lucyna oglądając się do koła zlękła się nieznanej okolicy. Wieże domowego kościoła znikły za górami, a znane miejsca zginęły za borem. Został jej tylko Romeo, jedyny jej opiekun i towarzysz życia. Ujęła go za rękę, położyła głowę na jego ramieniu.

Romeo spojrzał na Lucynę, a oczy jego jak dwa słońca były w nią utkwione.

Głowa jej spadła mu na piersi, czuła gwałtowne jego serca bicie.

On tylko do niej wyrzekł:—Lucyno!

Ona go objęła za szyję i zapłakała. Było to łzy pierwsze ofiarniczej miłości. Łzy te uszanował namiętny Romeo.

W kilka godzin później, zaprzysięgli wieczną sobie miłości, ale Lucyna smutna stanęła u stopni ołtarza, bo nieotoczyli go rodzice, nieotoczyło rodzeństwo.

W miesiąc potym Lucyna ujrzała ojczyste niebo Romea, co zachwycony podwójnie sam niewiedział —czy chwalić się niebu swoją małżonką, czy małżonce niebem! Jedno i drugie było mu równie drogim i pięknym. Lucyna była oczarowana i mężem i niebem.

Romeo przybywszy z żoną do Florencyi, zamieszkał tymczasowo u swego najstarszego brata, podżyłego wdowca, malarza amatora. Piękność dziewicza Lucyny wprawiła go w osłupienie. Cudowny wyraz jej twarzy, delikatność rysów, szafir oczu, postać wysmukła Dyjanny, zachwyciły artystę. Uczcił piękność bratowej i wziął się do farb i pędzlów, by uwiecznić jej wdzięki na płótnie.

Po kilku tygodniach wypoczynku, nie chcąc nawet bratu być ciężarem, Romeo zajął się lekcyjami śpiewu a Lucyna muzyki. Życie ich było bardzo oszczędne, nieznane dotąd Lucynie, rzuconej w świat nowych zajęć między obcych ludzi. Miłością i domysłem kierowała się młoda kobieta, wychowana od kolebki w sprzecznych jej obecnemu życiu zasadach. Romeo zobowiązał żonę by o nic

nigdy nie prosiła rodziców. Lucyna w pysznych promieniach słońca i eterycznych błękitach włoskiego nieba, tęskniła nieraz do chmur popielatych, mglistej jesieni i zimowych szronów. Na wiosnę szukała tęsknym okiem bocianów i żórawi ciągnących do jej miejsc rodzinnych; przysięgłaby, że tam słowiki piękniej śpiewają, że wierzba piękniejsza od pomarańczy, a jodła od cyprysu.

W rok po ślubie kołysała miesięczną Stasię, kochała ją i zato, że podobna do ojca, i zato że przypomina Elfrydę. Ojciec kochał z uniesieniem swoję dziecinę. Ileż to dla niej sonetów zaimprowizował, ileż nowych piosnek wyśpiewał? W miłości matki przebijał się cień smutku: chciałaby dać swe dziecię ucałować rodzicom; pragnęłaby je widzieć w objęciach Elfrydy, która i ją ochraniała w piérwszym zaraniu życia.

Romeo męczył się nieraz obawą o byt i szczęście Lucyny. Lękał się by świat rzeczywisty i cierniowe jego potrzeby, nie ocieniły idealnego świata, do którego miłość podnosiła Lucyną. Lękał się by czara miłosnych złudzeń nie zamieniła się w czarę goryczy i nie otruła jej serca.

W piérwszym do Elfrydy liście, Lucyna pisała:

„Roku 184.... Florencyja 4 września.

Moja droga siostro! rok już przeszło jesteśmy

zdala od siebie. Tęsknię do was i proszę wszystkich o przebaczenie.

Kocham mojego Romea, i moję Stasię nad życie. Przebaczcie żem was zasmuciła,—przebaczcie mojej miłości!

Stasia już się do mnie uśmiecha, Romeo mnie kocha, poczciwa jego rodzina sprzyja mi duszą całą, brak mi tylko ciebie Elfrydo kochana, gdyż tobie głównie winna jestem wszystko.

Romeo zacny i uczciwy człowiek. Gdy po mozolnym zajęciu wraca strudzony do domu, gdy mnie i dziecię nasze uściśnie, czuję roskosz w pracy i nowych sił nabywa. Kraj tutaj piękny, wszyscy i wszystko powinno się uśmiechać, a jednak mało prawdziwej radości. Tutaj są tylko wiele mówiący i posępni ludzie—zadumanych, głębiej myślących mało. Tutaj między niebem a ziemią jest tylko chwilowa piosnka i sztylet. Znajomych mam nie wielu: bez wiedzy męża nie wychodzę nigdzie i nie przyjmuję nikogo, bo tu taki obyczaj.

Są tutaj i inne zwyczaje uprawnione czasem, a których siostra twoja nigdy nie przyswoi. Upominałaś mnie nieraz Eldziu za lenistwo, miękkość i zbytnie upodobanie w strojach. Wielka ze mną stała się odmiana. Służącą mam tylko jednę, sukien cztery, pokoików dwa. Przesuwa mi się nie-

raz w snach i marzeniach ojcowski pałac, obszerne w nim komnaty wysłane drogiemi kobiercami, familijne portrety, bogate zwierciadła i inne kosztowne sprzęty. Pamiętasz Eldziu, jak mama lubiła mnie ubierać po kilka razy na dzień, pamiętasz te drogie podarki na każde święto i imieniny moje. Dzisiaj—Stasia jest moim jedynym klejnotem. Leniwą być nie mogę, gdyż daję lekcyję angielskiego języka panienkom mieszkającym w jednym ze mną domu. O strojach ani myślę, ani też ich pragnę, bo mój Romeo zaprzedaja swe godziny by nam chleb powszedni zapewnić.

Czy ty mnie potępiasz moja droga Eldziu, czy rodzice dotąd mi nie przebaczyli? Tyś bo oceniała przynajmniej mojego Romea, ale rodzice patrzyli nań *tylko jak* na płatnego metra. I ja go długo nie znałam, głosem mnie tylko czarował, czułam przy nim trwogę, bez niego—tęsknotę, a już to była miłość nieświadoma siebie.

Godziny wieczorne, wolne od pracy, przepędzamy z sobą, i sąto najmilsze dla nas obojga chwile. Stasia śpi w kolebce, Romeo czyta, ja słucham. Bolejący Leopardi jest najulubieńszym jego peotą. Lecz tegocześni tutejsi poeci nie godni się rozwiązać rzemyka obówia naszych wieszczów. Pamiętasz Eldziu, jak bywało uproszę mamy by na dni

kilka zostawiła mnie u ciebie. Ty czytasz wieczorami, ja słucham i każde słowo zapisuję w sercu. Ty się zachwycasz, ja odczuwam twój zachwyt. A raz pamiętasz Eldziu czytałaś *Głos z wieży*, dostałam takiego bólu głowy, żeś mnie położyła do łóżka i zimną wodą oblewała skronie. Mama zawsze odrywała choć jeden z dni obiecanych, a ja oderwać się od ciebie nie mogłam. Wszyscy mnie w domu kochali i pieścili jak kwiat, jak ładne stworzonko, ty tylko Eldziu miałaś dla mnie uczucie krzepiące moję puchową i wypieszczoną istotkę.

Romeo szanuje ciebie jak siostrę. Pamięta żeś go w jego niskorzędnym położeniu metra, podnosiła szacunkiem i życzliwością.

Przyszłość Romea nie zawrze się tylko w klawiszach i piosenkach. Serce jego o tak gorących uczuciach nie zetnie się mrozem śmierci od powszednich trudów. On czegoś czeka—coś przeczuwa i nieraz mi mówi:—że chwila jego ostatnia wypowie wewnętrzne dzieje jego duszy.

Kochaj nas Eldziu i proś rodziców o przebaczenie! *Lucyna.*"

Elfryda z listem pojechała do rodziców, hrabina rozpłakała się na tę wiadomość, hrabia zbladł i rzekł gniewnie:

— Nic nie chcę o niej wiedzieć i nic jej niedam.

Napisz do niej mojemi słowy:—niech się rozstanie z włochem, powróci do nas, postaram się o rozwód, a drugim zamęzciem pokryje hańbę wyrządzoną imieniowi naszemu.

— Kochany ojcze! ona prosi tylko o przebaczenie niczego więcej nie pragnąc. Męża zasługującego na miłość i szacunek nigdy nieporzuci; nieośmielіłabym się pisać do niej o tym.

— Niech w nędzy zmarnieje—niech hoduje *lazaronów* — rzekł hrabia, trzasnął drzwiami i wyszedł wzburzony.

Matka po przeczytaniu listu jeszcze mocniej płakała.

— Mamo, przebacz Lucynie, pobłogosław Stasi! —rzekła Elfryda, całując ręce matki.

— Biedna Lucyna! Jednę ma tylko sługę, cztery sukienki i dwa pokoiki! Biedna, biedna Lucyna! Błagać będę ojca, by jej posłał pieniędzy i odeszlę jej precyjozy.

— Mamo, ona tylko o przebaczenie i błogosławieństwo prosi. Ona szczęśliwa z mężem, o cóż więc wam chodzi?

— Przebaczam i błogosławię!—odrzekła matka cisnąc do serca list córki.

— *Bon jour comtesse!*—dało się słyszeć jakby gdzieś spod ziemi, przerywając rozmowę matki z córką.

Te *bon jour*, było powiedziane przez wbiegającego do salonu księcia Herkulesa Szpaczkiewicza. Książątko to dwułokciowe, twarzy młodej lecz zwiędłej, rysów drobnych foremnych, jakby cyrklem mierzonych, oczu szarych, niekiedy błyszczących jak ogniki cmentarne, jednej ust strony zawsze uśmiechniętnej a drugiej skrzywionej, włosów płowych, strzyżonych. Konceptów, jak plotek u dewotki, rozumu—ile prawdy u szulera, miłości —ile cnoty u lichwiarza.

— Jak dawno książe wrócił z podróży?—zapytała hrabina.

— Od dni czterech nudzę się w domu.

— Zapewne dużo nowin i pięknych rzeczy przywiózł z zagranicy?

— Przywiozłem siebie odnowionego—jako wielbiciela amerykanek, wyznawcy mormonizmu i fundatora rodziny osłów, których sprowadziłem do kraju. Wczoraj pojechałem na moim kłopocichym Birbantusie do mego sąsiada Anzelma. Gdy zobaczył mój osieł na ganku gospodarza domu, zaczął parskać, wierżgać, i.... piszczeć z radości, jakby na widok brata. Zaambarasował nas obu serdeczny mój Birbantus, i odtąd dałem sobie słowo, że nie pojadę na nim w sąsiedztwo.

— Książe zawsze wesół—rzekła hrabina.

— Czegóż mam się smucić? Wygrałem w Nowym-Jorku sto tysięcy dolarów, zbałamuciłem w podróży królowę Hotentotów i podstrzeliłem sążniowego śmiałka, co drwił z mego imienia, mierząc mnie szyderskim wzrokiem od stóp do głowy. Fantazyja to mojej matki wydać mnie na świat szczupłym i małym jak damski igielniczek, fantazyja również ojca ochrzcić mnie Herkulesem. Dwułokciowy Herkules, chyba łokciową znajdzie Omfalę, i u nóg jej prząść będzie kądziel z pajęczyny.

— Czy książe był teraz we Włoszech?

— Włochy już mi się przejadły. Włoszki zazdrośne, włosi posępni jak konspiratorzy; kolczaste aloesy, bibilijne figi, poetyczne wawrzyny, już mi spowszedniały.

— Może nam jaką abissynkę lub japonkę książe przywiezie?

— Jużciż wolałbym niż tutejsze kobiety, nieubliżając nikomu. Zmieniają się nasze panie:—niedługo—a będą to tylko mamki, niańki i ochmistrzynie.

— Daj Boże co rychlej doczekać się takiej przemiany—odezwała się Elfryda. Dobre to wszystko co książe wylicza, bo czegóż pragnąć więcej, jak aby dzieci miały matki, słudzy—opiekunki i t. p.

— Pani poniża bardzo kobiety.

— Owszem, podwyższam panie łaskawy, podnoszę je do miłości w spełnieniu swych obowiązków. Zbyt długo serca naszych kobiet były pustkowiem, zbyt długo nasze babki naśladowały świetne damy głośnych zagranicznych dworów to też i nam źle.

— Pani chce widocznie wskrzesić czasu Jakóbowe, piękne panie przerobić na żniwiarki, a pięknych panów na arkadyjskich pasterzy. Zamawiam sobie zawczasu obowiązek pasterza, ostrzegając że starych i prostej rasy owieczek nie bardzo pielęgnować pragnę.

— I w tej istocie jest pewno zaród serca zawiany pustotą. Może w chwili nieszczęścia zbudzi się i pojmie prawdziwy cel życia—rzekła Elfryda po wyjściu Herkulesa.

— Jakież może go spotkać nieszczęście? Bogaty z antenatów, zdrów choć zamknięty w tak lichym futerale, pretendent do najpiękniejszych panien, kandydat do znaczenia, czegóż mu więcej braknie? —odpowiedział hrabia.

— Ma wszystko—prócz samego siebie—dodała Elfryda.

Hrabia machnął ręką i wziął się do czytania gazet. Elfryda zabierała się do wyjazdu. Hrabina szepnęła córce:

— Napisz; że przebaczam i odeślę jej klejnoty.

Hrabia rzekł głośno:

— Napisz, że pod tym tylko warunkiem przebaczę i wypłacę posag, jeżeli zgodzi się na rozwód; w przeciwnym razie, nie chcę o niej wiedzieć, i złamanego odemnie grosza niedostanie!

Elfryda zasmucona zatwardziałością ojca, wróciwszy do domu tak do Lucyny pisała:

„*Zamczysko 184.... r.*

Po tak długim milczeniu list twój droga Lycyno był dla mnie wielką radością. Matka ci przebacza, ojciec jeszcze gniewny, lecz pod kamieniem obrazy szepce miłość ojcowska i nie dziś to jutro, musi przecież wziąć górę.

O sobie to ci tylko powiem, że cię kocham i szanuję twojego męża. Boleję, że skrzywione okoliczności zmusiły cię stanąć u ołtarza bez ojca i matki. Ale co się stało, to się stało i dzięki Bogu że się twe serce nieomyliło i pokochało godnego człowieka.

Masz córkę moja Lucyno, pozyskaj jej ufność, rozświecaj przed nią drogę naszych dawnych niewiast, a te piękne postacie, owiane duchem czasu, niech będą jej wzorem. Rodzinne ognisko, pod każdym niebem, szarym czy słonecznym, stać się może źródłem cnoty lub występku. Gdzie pod-

stawą ogniska jest moralność, prawda i miłość, tam i błogosławieństwo jest boże. Gdzie egoizm, duma i próżność—tam pierwsza przeciwność rodzi niezgodę i wylęga występki i fałsze.

Wyznam ci moja Lucyno, że się lękam o ciebie: —wyniosłaś z domu tak ubogie pojęcie o przeznaczeniu kobiet, tak cię obcemi zajmowano przedmioty, że gdyby nie twoja dobra natura, spaczone o wszystkim miałabyś pojęcia. W obcym zupełnie kraju, najczęściej samotna, musisz własną pracą ducha pojąć prawdziwe obowiązki żony i matki, i wyświęcić siebie na członka społecznej rodziny.

Piękne to niebo pod którym oddychasz, kwiecista to ziemia po której chodzisz, lecz czasy są takie, że im godniejszego masz męża, im szczęśliwszą z nim jesteś—tym do większych cierpień bądź przygotowaną. W doli jednak i w niedoli, niech ci dom ojczysty conajczęściej błyska w pamięci, bo gdy ściemnieją w duszy święte pamiątki, noc pada na serce i Bóg odstępuje.

W liście twoim pytasz razy kilka:—a czy pamiętasz?—Pamiętam wszystko—i ciebie dzieckiem moja Lucyno. Pamiętam jak cię nosiłam maleńką w moim objęciu daleko—aż tam gdzie krzyż na rozstajnej drodze, a ty wyciągałaś rączęta do Męki Zbawiciela i kwiatki u stóp jego składając, schy-

lałaś twą śliczną główkę! Pamiętam, że od dzieciństwa brzydziłaś się fałszem, a ciebie hodowano sztucznie, jak piękny kwiat w cieplarni. Moja ty Lucynko! ileż piękna zniweczonego przez miłość źle pojętą! Smutny to widok, lecz smutniejszym niż grób, niż konanie człowieka, jest wypustoszone serce. Dwa drewna w poprzek zbite obtulają grób, na spotkanie konającego wychodzi wieczność, a serce wypustoszone niéma nikogo — tylko pustki dokoła.

Moja Lucynko, dochowaj wiary pamiątkom. Są życia, w których dwa lub jedno wspomnienie zajmują całe serce, takim jest moje. Ty kochasz, ty zrozumiesz, że to wspomnienie jest moją mocą i życiem. Na dorobku cnót jego leży moje zbawienie: wśród niesłychanych boleści po jego zgonie, jedyną moją ulgą było jego życie bez zmazy i śmierć pełna zasługi.

Ty ze mną mówiłaś o twym żywym Romeo, ja chcę z tobą pomówić o moim zmarłym Zygmuncie. Widziałam go tylko kilka razy w życiu, a postać jego taka rozwidniona, tak jasna i piękna jak promień objawionej wiary. Ten człowiek co tak kochał ludzi, zawcześnie odwołany do swej zaziemskiej ojczyzny. Lucyno! ja z tobą mówić o nim mogę, boś ty uświęcona szlachetną miłością; uczu-

cia moje, wspomnienia i żale leżą w tajniach mojej duszy, w której on się przeziera jakby we własnym domu.

Z siostrami widuję się rzadko. Obie w Paryżu nudzą się—bawiąc, a żal mi tych kobiet, gdyż dobre z natury.

Izydora, jak zimowy obłoczek uróżowany północną zorzą, żegluje bez celu po chłodnych błękitach. Mąż jej bezbarwny, żyje w sobie i dla siebie jak samotny ślimak. Dziatki ich również—obłoczki i ślimaki, hodowane w przepychu, na ręku bon cudzoziemskich.

Emma znużona choć brodzi po kwiatach, i jak Hebe w żałobnym wieńcu, nalewa do czary biesiadników piołun i cykutę. Mąż jej, którym się brzydzi, przyrosły do niej jak parodyja kary. Mają dwoje dziatek, które dla ojca są tylko zwitkiem pargaminów, a dla matki, rozrywką wśród nudy. Może prąd czasu będzie nauczycielem ich dzieci, może burza nadłamie je i skaleczy lecz wyprostuje skrzywienia. A jeżeli, od czego Boże uchowaj, ukryć się zechcą przed prądem czasu, niech je lepiej zdruzgoce, a na ich rumowisku słońce wygrzeje nowe latorośle.

Matka—dziecię—to święty węzeł, to najpiękniejsza harmonija, której mnie Bóg odmówił, to

też uczucia moje zdaje sierotom, które mi los powierzył.

Najmłodsza moja sierotka Gabryjela ma lat sześć. Jednego jesiennego ranka, znalazłam złożone niemowle pod płaczącą brzozą, naprzeciw moich okien. W pieluchach była kartka z temi słowy:—„Dziecko nieszczęścia, ochrzczone imieniem Gabryjeli prosi o opiekę.“ Sliczne to dziecko, serduszko ma anielskie, rozum bardzo bystry. Czuwać ciągle potrzeba by jedno drugiego nie przeważyło, by oba w harmonii utrzymać. W jej lazurowym oko widny błękit nieba, a gdy to oko zapłacze, łza jak poranna rosa, spada z ciemnych rzęsów. Dziewczynka byle zasłyszała piosnkę wnet ją zapamięta i przeistacza, i zasłyszane nóci, i taki aniołek jest dzieckiem nieszczęścia. O biedna matko!

Średnia moja sierotka Kostusia ma już lat ośm. Rodzice poszli do grobu zostawując ją jedniutką na świecie. Nie wynajdzie prochu, lecz da radę w życiu, i pod domową strzechę wniesie miłość obowiązków, czyste serce i spokój.

Najstarsza Maryjka, ma już lat dziesięć, ułomna nieboże. Przed dwoma laty, Monika przywiozła dziewczynkę smutną i zdziczałą, krzywdzoną od pieluch przez złośliwą macochę i niepoczciwego

ojca. Po złocistych jej oczach pływają ciągle łzawe chmurki, po jej posępnym czołku błąkają się cienie. Wiele potrzeba miłości i starań by tę więdnącą duszeczkę ożywić i rozkwiecić. Jeżeli uda mi się wykształcić te sieroty na zacne żony, matki i obywatelki, spełnię choć w setnej części moje obowiązki.

Januszek kończy zagranicą nauki. Planują już dlań ożenienie z księżniczką Dyjanną, siostrą Herkulesa, przezwaną *rokko*. Jestto panna uboga sercem, bogata dowcipem. Januszek dobroduszny i miękki chłopiec. Dziecinnemi jego laty kierowała bona szwajcarka, którą pamiętasz, p. Roch przezwał maślanną panną. Młodzieńczych lat jego przewodnikiem był jedwabny wiedeńczyk, zakochany w swej różowej buzi. Rodzice nie skąpią Januszkowi pieniędzy, a ziemia zdaje mu się stworzona dla jego roskoszy. Łudzi tam jakąś ładną pastorównę Otylję, której portrecik mi przysłał. Śliczne modrookie dziewcze:

Lica... z bieli i czerwieni
Jak na wiosnę kwiat na gruszy;
Lub gdy wzgórza śnieg popruszy:
A świt ranny—zarumieni.

Pisał do mnie, że sam niewie co począć z jej „wielką miłością.“ Zasmuciły mnie te słowa. Nie

kocha a daje się kochać, i czaruje na zimno poczciwą dziewczynę. Zły to wstęp do życia—grzech u proga serca. Ostrzegam go w listach o tym strasznym wrogu i zaklinam by pamiętał, że nie godzi się bawić łzami kobiet i gorszyć przyszłe matki. Widzę ze wszystkiego, że chłopiec żyje w świetnym motłochu, i że już ma plamkę na sercu.

Podkomorzy zdrów dzięki Bogu, zasyła ci ojcowskie pozdrowienie i zawsze ten sam—myślą i uczynkiem.

Monika ściska cię serdecznie. Znasz jej serce i czynność; otóż i teraz, pomimo lat podeszłych, zajęta sierotkami, czuwa nad ich zdrowiem, uczy robótek i we wszystkim mi dopomaga. Bonawentura przypomina się twojej pamięci. Już mu głos chrypnie, już do stulecia dziesięć lat mu braknie. Lecz umysł ma jeszcze przytomny, a choć prostaczek, spotyka się sercem na jednej drodze z mędrcem, gdyż miłość jak i mądrość rozlewa się dokoła.

Mój wierny Negr nie zapomniał o tobie. Gdy wezmę w obie dłonie kudłatą jego głowę i pytam patrząc mu w oczy:—gdzie Lucynka? Spogląda do drzwi, skomli żałośnie, jakby się skarżył że ciebie niémą.

O wszystkim i o wszystkich ci napisałam, a teraz żegnam cię Lucynko. Kochaj mnie jak ja zawsze kocham ciebie.

Mężowi twemu przesyłam pozdrowienie siostry; Stasię, jakby moję własną do serca przyciskam. Mama całuję cię po stokroć razy! *Elfryda.*"

XI.

Już się panicz światem znudził,
I na sercu się zabrudził,
I zabawą się utrudził,
I w ożenku zamarudził.
Trzeba żony, trzeba złota,
Trzeba życie lepić z błota.
Cnota, miłość—to nędzota
Co nie warta cukru łuta;
A ofiara—bajka stara,
Wartująca pół talara.

Już nie różowy Januszek, lecz hrabia Janusz, skończywszy nauki wrócił do domu. Rodzice uszczęśliwieni z ukończonej edukacyi syna, sprosili krewnych i sąsiadów na powitalny obiad. Ładny, składny, grzeczny młodzian podobał się wszystkim, a jeśli komu innym się wydał, ten swe zdanie przy sobie zatrzymał.

Hrabiostwo unosiło się nad jedynakiem, a Elfryda dotknąwszy strón młodzieńczego serca, zatrwożyła się o jego wiosnę bez kwiatów, o jesień bez owoców. Gdy raz Janusz wziął miłość za temat rozmowy, Elfryda go zapytała:

— I cóż się stało z Otyliją?

— Słyszałem że umiera z anewryzmu.

— Czyżeś jej nie widywał?

— Chwilowa ta miłość, przeszła jak marzenie, a śliczna, dobra jak anioł dziewczyna...

— Tym dziwniej żeś ją chwilowo kochał i o niej zapomniał.

— At studencka miłość, którą wyśmiali koledzy i kwita.

— Toż nędznicy, ci twoi koledzy, tym gorzej dla nich i smutniej dla ciebie.

— Jako kobieta niewiesz jak się to człowiek przekształca żyjąc we świecie. Z tajemnicą serca chodzi długo, jak z ukrytym wrzodem, aż nareszcie ludzie wyszpiegują chorobę, wynicują, wyśmieją, i serce niespostrzeże jak się rozczaruje.

— Zgadłam, że w świetnym żyłeś motłochu. Januszku, ty odkwitniesz między swemi: przyszłość twoja piękna, byleś ją nieobraził lekceważeniem.

— Nie myślę jeszcze o przyszłości, wreszcie, jak się zaznaczy łysinka, pożółknieją zęby, pomyślę o jutrze, o pojutrze i t. d. Dzisiaj chcę używać życia, chcę żyć w Edenie.

— Jakiż twój Eden? Powiedz.

— Możebym innej powiedział kobiecie, ale nie tobie moja Eldziu.

Zamilkła i zasmuciła się Elfryda, odgadując łatwo—że w jego Edenie tylko same kwiaty grzechu.

Januszek używał życia, jeździł zagranicę; przebiegał cwałem drogę młodości. Dziś tracił głowę dla Laury, jutro dla Flory. W sercu jego, jak w kalendarzu, zmieniały się codzień imiona. Miał coraz nowych obiadowych przyjaciół, cukrowe przyjaciółki, a ostatni akt życia z akompanijamentem łysiny, wyżółkłych zębów i zapadłych policzków, miał zakończyć ożenieniem.

Gdy pewnego lata motylkując z wód do wód, zatrzymał się w przelocie w Ems, oczarowała go młoda wdówka wdziękiem i gruchaniem. Co dnia widywano czarnobrewą paryżankę i jasnowłosego Janusza, chodzących i jeżdżących razem. Hortensyja była wdową po angielskim nababie zbogaconym w Indyjach. Coraz nowe zabawy, nowe miłostki, nowi ludzie, nowe podróże były celem tej pieszczotki natury i losu. Raz tylko zapłakała w życiu nad zgonem ulubionej papugi; łzy porodzicielskiej nie znało jeszcze jej oko, gdyż rodzice żyli jeszcze. Łzy podziecinnej nie znało również, gdyż byłą bezdzietną. Hortensyja zajęła się Januszem dla tego, że raz piérwszy w życiu, widziała u mężczyzny tak kształtne i sympatyczne uszy. Janusz rozkochał się w jej ślicznej całości, gdyż tru-

dno było oznaczyć co w niej najładniejsze. W jej sercu było mnóstwo zaczętych obrazów, żaden niedokończony i jeden drugim zatarty.

Hortensyja od pieluch spała na różach złocistym rąbkiem przykryta; rodzice ją ubóstwiali, mąż ją otaczał bałwochwalczym zbytkiem. A to wszystko dla tego, że miała oczy duże, nóżkę małą, włos jedwabny, płeć różaną, nosek zadarty, usta jak karmelek, ząbki jak paciorki, zwinność ptaszęcia, gadatliwość sroczki. Jednego poranku nie przyszła do źródła—Janusz niespokojny wpadł do jej mieszkania. Ciemno w pokoju, pali się lampa na stole choć słońce w pełni blasku, Hortensyja leży na sofie i płacze.

— Co ci jest—czy jaka fatalna wiadomość—czy cię kto obraził?—pyta z trwogę Janusz.

— Śniło mi się że moja Koko zmartwychwstała, lecz niespodzianie okrutny jastrząb spadł na nią i podarł na szmaty. Wskrześ moją Koko jeżeli mnie kochasz, wskrześ!—a będę twoją na wieki.

Tak ślicznie płakała, tak gorąco do szlochającej swej piersi cisnęła rękę Janusza, że w tej chwili gotów był na wszystko.

Smutna Hortensyja zaproponowała Januszowi pójść na miejscowy cmentarz. Poszli oboje milcząc

jakby po wielkiej stracie. Zbliżali się zwolna do spoczynku umarłych, zbliżał się zwolna i orszak pogrzebowy. Na trumnie leżał z białych róż wieniec, za trumną szła kobieta w czerni, a z jej boleści każdy odgadł osieroconą matkę. Przy grobowym dole pragnęła raz ostatni pożegnać swe dziecko. Odkryto wieko. W trumnie leżała Otylija, Janusz zbladł i zadrżał. Matka żegnała córkę— rozległ się płacz kobiet.

Jakby uspioną była męczennica serca: róże i jej lice zarówno białe. Na czole zastygła tęsknota, na twarzy uciszone bóle, dokoła ust chmurki.

— Idźmy stąd—mówił Janusz blady i drżący.

— Mój drogi, spójrz na tego młodzieńca co stoi przy krzyżu—jakże on podobny do mojej Koko! Jaki on śliczny—jaki oryginalny!—czy ty go nieznasz?

Janusz nic nie słyszał, patrzał ciągle na Otyliję, a ktoś rzekł w tłumie:

— Umarła biedaczka z miłości—dla jakiegoś młodzika co o niej zapomniał.

— Idźmy stąd!—powiedział Janusz raz jeszcze i pociągnął Hortensyją, oglądającą się ciągle na ładnego niemczyka, przypominającego jej Koko.

We trzy dni potym, Hortensyja chodziła pod rękę z niemczykiem, co jej zastąpił miejsce papugi,

a Janusz otrzymał pachnący od niej liścik, w którym była odprawa w tych słowach zawarta:

„Żegnam cię—nie gniewaj się na mnie. Nieodgadniona sympatyja i podobieństwo do mojej najmilszej Koko wzbudziły w mym sercu miłość dla barona Wilhelma, a uczucia moje dla ciebie zżółkły i spadły jak listek z drzewa. Pojutrze wyjeżdżamy do Ameryki, gdzie nic i nikt nic krępuje swobody kobiet. Nie jestem Penelopą, nie czekam Ulisesa, lecz się tym bawię co mi los zsyła. I ty o mnie zapomnisz ładny Słowianinie, bo taka kolej na świecie. Rozmaitość jest moim żywiołem, i ona zapełnia wszystkie kąteczki życia przychylnej dla ciebie Hortensyi."

Janusz chciał wyzwać niemca na pojedynek, przeklinał paryżanki, odwiedzał grób Otylii szukał u zmarłej pociechy lecz tam jej nieznalazł. Umilkło umęczone serce, szeleściły tylko gałązki płaczącej brzozy na dziewiczym grobie, a zdradzony dla papugi kochanek powiedział sam sobie:

Ha miłość!.... serca mara to olbrzymia,
Mara rozwiewna—co świat nam odymia!

I odymiony, stargany, upokorzony, rzucił się w odmęt przeróżnych zabaw—a po dwu latach wrócił do domu z zaznaczającą się łysinką, z wy-

żółkłemi zębami, z zapadłą twarzą, z wyszczerbioną fortuną... wrócił kandydat do ożenienia.

Hrabiostwo zadrżało widząc syna tak zmienionym. Hrabina nazajutrz, posłała znaczne ofiary nietylko do kościoła, lecz i do żydowskiej bóżnicy, na intencyją schorzałego jedynaka. Na każdą zmianę pogody takie czuł Janusz łamanie w kościach, że sąsiedzi przezwali go hrabią-*barometrem.* Ożenić się bogato i rychło potrzeba mu było na gwałt, gdyż na nim gasło imię hrabiów Pleśnickich herbu Mech, i świetna fortuna chyliła się znowu do upadku.

Księżniczka Dyjanna jeszcze była panną, z brata jej Herkulesa zadrwiła śmierć—jawiąc się niespodzianie wśród kpinek z ludzi i życia. Odziedziczywszy znaczną po bracie fortunę, pojechała do swej ciotki starej margrabiny, co wypadkiem losu poszła za francuza, najniższego sługę przedmieścia S go Germana. Wypiastowawszy wśród przeszłowiecznej kasty mnóstwo zasad i przesądów, wróciła do kraju jeszcze księżniczką Dyjanną, z dodatkiem lat pięciu, trzech wstawionych zębów, i gorączkowym pragnieniem zamęźcia.

Janusz z Dyjanną spotkali się jak dwa oskubane ptaki, których śpiew już przebrzmiał w błotach i wydmach. Hrabiostwo pragneło ich połączenia,

by z tego gniazda wyleciał choć jeden złotopióry ptaszek. Stało się jak pragnęli, pomimo otwartych perswazyi Elfrydy. Chociaż Janusz z Dyjanną nie spotykali się w Paryżu, mieli jednak wiele wspólnych wspomnień, podobnych zabaw i wrażeń. Nudzili się oboje w ojczystym domu, i na motywach nudy porozumieli się z sobą. On jej przebaczał wstawione zęby i dwadzieścia sześć latek panieńskich, ona mu nawzajem—łysinkę i bóle w kościach. Z tego przebaczenia wynikły świetne zaręczyny, poczym miała nastąpić przysięga wiecznej miłości.

Hrabina wśród domowych zatrudnień i swietnych planów dla syna, coraz mniej tęskniła do Lucyny, ale hrabia coraz ciekawiej czytywał gazety, szukając wiadomości z Włoch. Niepokoił się nieraz czytając i mówił sam do siebie:

— Bóg wie co się z nią stało? Lucyna przestała pisywać do Elfrydy, zasmuconej jej długim milczeniem. Burza pod włoskim niebem coraz była groźniejszą, a kto padł pod jej gromem ten nie powstawał więcej.

W dzień ś-go Michała o piątej po południu, tłum ciekawych napełniał kościół, w którym hrabia Janusz miał zaślubić księżniczkę Dyjannę. Na-

rzeczona wkładając ślubną suknię, wartującą 40,000 złp. ziewnęła razy kilka, a narzeczony ubierając się w zagraniczną odzież, krzywił się i grymasil, że nie dosyć do figury dopada.

Pyszne cugi zajeżdżały przed kościół, narzeczeni i weselny orszak sunał się ceremonijalnie do wielkiego ołtarza, a w tej chwili ciągnęła drogą żydowska buda, okryta mgłą jesienną. Żałobna postać kobieca wychyliła głowę i kazała stanąć przy kosciele. Wysiadła z budy z kilkoletnim dzieckiem, weszła do kościoła i w najciemniejszym kątku uklęła. Twarz dziecka miała pięknej sprzeczności wyraz: oczy i włos południa, płeć i reszta twarzyczki północy. Twarz kobiety młoda, blada jak marmur, oczy duże, niebieskie, mocno wypłakane, włos gęsty i jasny, okryty czepkiem żałobnym. Osłonięta filarem modliła się ze łzami, potym wpatrywała się w ślubującą parę, lice jej zapłonęło rumieńcem, chciała zbliżyć się do ołtarza lecz została na miejscu, a zaślubieni i weselni goście wyszli z kościoła. Hrabiów nie było. Czekali w domu syna i synowej. Elfryda także została w domu przy niebezpiecznie chorej Monice; Emma i Izydora leczyły się zagranicą. Zastęp dalszych krewnych asystował ślubowinom.

Kościół się wyludnił, pogaszono światła i ko-

bieta z dzieckiem wyszła, wsiadła do budy, woźnica zaciął konie, ruszyli dalej podróżni.

W parę godzin później, o wieczornym zmroku, buda mijała rzęsiście oświecony pałac hrabiów. Ogród angielski rozciągał się koło drogi, wyniosłe drzewa słaniały się jak olbrzymie wieże w cieniach mglistej nocy. Zegar pałacowy wybił dziewiątą, dźwięki weselnej kapeli rozlewały się w mglistej ciszy jesiennej. Podróżna prosiła woźnicę, aby się zatrzymał. Burczał i nie chciał siwobrody Berko, lecz stanęły konie. Podróżna zostawiła w budzie uśpione dziecko, sama weszła do ogrodu, co musiał być jej znanym, gdyż szła bezpiecznie ocierając z łez oczy. Wypogodziło się niebo, widne były ścieżki, posągi i zwierciadła wody. Stawała co kroku, całowała drzewa, w jednym miejscu uklękła szukając ręką na płaczącej brzozie wyrytego napisu. Księżyc w tej chwili jasno zaświecił, dojrzały jej oczy wyryty napis—*Romeo*. Przycisnęła usta do wilgotnej kory nie mogąc długo od niej ich oderwać.

Zbliżyła się do pałacu, a w wielkim taflowym oknie ujrzała stojącą hrabinę.

— Ach mamo!—zawołała, zachwiała się i oparła o drzewo.

Hrabina niesłysząc wołania odeszła od okna.

Zbliżył się pan młody wychudły i posępny. Podeszła pani młoda, mówili coś z sobą, a wyglądali oboje za szybą jak wypłowiałe dagerotypy.

Kobieta smutnych oczu nie mogła odwrócić od okna. Czekała hrabiego—nieprzyszedł, czekała Elfrydy—niewidać.

Dwie jakieś postacie weszły do ogrodu, jedna z nich rzekła:

— Bałują, ucztują, a długi rosną i rosną. Posag najmłodszej córki poszedł na sałatę.

— Czy tej której ojciec się wyrzekł, za to że wyszła za włocha małpowoda?—zapytała druga i obie poszły dalej.

— Trzeba stąd uciekać—niéma przebaczenia, niéma czci dla prawdy!—rzekła sama do siebie, poszła spiesznie aleą, wsiadła do budy, uścisnęła śpiące dziecko i ruszyła w swą drogę.

— Jeszcze dwie mile do zamczyska—powiedział biedując Berko. Już dwa razy kur zapiał, gdy podróżni stanęli na miejscu. W zamieszkanym skrzydle widne było światło, a cały gmach ruiny jakby spał w ciemności. Zaturkotały koła, zaszczekał pies, wyszedł z latarką starzec na spotkanie podróżnych.

— Kogoż to Pan Bóg przyniósł w tak późną porę?—zapytał podchodząc do budy.

— Czy Elfryda w domu?—zapytał głos drżący.

— Panie Boże! Czyjże to głos tak znajomy, nie mogę sobie przypomnieć?

— To głos Lucyny, staruszku.

— Matko Przenajświętsza! ś-ty Kazimierzu! Czy z nieba pani spadłaś? Proszę wysiadać.

Wyskoczyła Lucyna, Berko poziewając zlazł z kozła, wyniósł z budy śpiącą dziewczynkę i poniósł za matką.

Elfryda zmęczona czuwaniem przez dziewięć nocy przy chorej Monice, o której życie już była spokojną, drzemała leżąc na kanapie.

Drzwi się otwarły, weszła kobieta w żałobie, za nią wniósł Berko śpiące dziecko, za nim wszedł starzec z latarką, za starcem wsunął się Negr burcząc.

— Elfrydo!—zawołała kobieta i padła w jej objęcie prawie bezprzytomna.

— Lucynka!—Mój Boże!

Nastało milczenie, Berko zapłakał, starcowi łzy popłynęły po twarzy, Negr wycierał kudłatą głowę koło żałobnej sukni Lucyny, Stasia otworzyła oczy, zawołała mamo!—i znowu usnęła.

Elfryda widząc Lucynę w ciężkiej żałobie, odgadła wszystko i zapłakała.

— Zginął jak ofiarnik, jak sługa prawdy. Tyś

dla nas wszystkim Eldziu—rzekła Lucyna i padła na kolana przed starszą siostrą.

— Biorę Boga i Zygmunta za świadków, że wdowa i sierota po cnotliwym mężu i ojcu — będą moimi dziećmi; że każdą cząstką serca i każdym kęsem chleba z niemi się podzielę.

Wschód słońca zastał obie siostry jeszcze nieśpiące. Ileż to łez wylały nad śmiercią Romea! Lecz to łzy nie gorzkie, łzy życiodajne, roszące palmę męczeńską żywota.

Elfryda znaczną zmianę znalazła w Lucynie. Dojrzała bólem—wyszlachetniała żałobą—podniosła się ofiarą. Uczucia Lucyny w dziwnym były stanie: szczęśliwa z siostry, rada z każdego kątka, z każdego drzewka, jednak smutna że opuściła niebo—co tak pięknie świeci nad grobom Romea. Każdy ton jej duszy, każda nuta wspomnienia na wpół rozdarta. Tysiące nitek wiązało ją z obcym niebem, a jednak bez Romea—żyć tylko chciała na rodzinnej ziemi. Ostatnie chwile rozstania się jej z mężem były tak nagłe—śmierć tak niespodziana—że wszystkie wrażenia i bóle, splotły się w jedną chwilę, pełną grozy—łez—chluby—gromów i żałoby. Wiedziała że ostatnie uderzenie jego pulsu, ostatnie bicie serca—było dla prawdy za którą poległ. Szata żałobna stała się dla niej

szatą najwyższej godności. Tytuł wdowy—najwyższym dostojeństwem.

W dni parę po przybyciu Lucyny, Elfryda pojechała do rodziców oznajmić im o tym. Matka się zadziwiła, ojciec się zakłopotał, a brat uradował się biernie. Może Lucyna upomni się o wiano—pomyśleli w duchu. Serce ich odwykło tęsknić do córki, co taką *awanturą* zamknęła przed sobą drzwi do świetnego losu. Śmierć bohaterska Romea wydała im się tylko igraszką losu: spaczone serca niepojmując ofiary, zrzucają na przeznaczenie lub szaleństwo potrzeby ducha.

Pierwsze widzenie się Lucyny z rodzicami, było dziwnie smutne i rozrzewniające. Córka z pokorą pełną godności, prosiła o przebaczenie, rodzice z upokorzoną dumą jej przebaczali.

O posagu i potrzebach życia nie wzmiankowała Lucyna, lecz hrabia chcąc ją zbyć fraszką, wsunął do rąk odjeżdżającej z Elfrydą studukatowy rulonik, narzekając na złe czasy i wydatki na ożenienie syna.

— Dzięki za pamięć: od zbytków odwykłam, dziecko moje znać ich nie będzie, a mieszkając z Elfrydą, na niczym mi nie zabraknie.

Hrabiostwo pragnęłoby może mieć Lucynę przy sobie, lecz tymczasowo zamieszkała u nich pani

synowa, w której dobrach stawiano gmach wspaniały. Hrabina Dyjanna grzeczna dla męża i jego rodziców, lecz serce i klucz od szkatuły miała wyłącznie dla siebie. O długach ciążących na mężowskich dobrach jakby nie wiedziała, a posag Lucyny pochłonęły podróże i rozrywki hrabiego Janusza.

Po niejakim czasie, Janusz zżółkł bardziej, smutniało i posuwało się w lata hrabiostwo, tylko Dyjanna zawsze ta sama, bezwonna jak nieśmiertelnik, z utworzonym przez siebie kodeksem, rej wiodła. Wprowadzała nowy porządek, a wolę domowych we własnej skupiła osobie. Sług starych i rezydentów usunęła bez słów—bo komuż miło i wygodnie mieszkać w lodowni? Im chłodniej było Januszowi we własnym domu, tym częściej nawiedzał zamczysko; im smutniej było hrabiom w swym gnieździe, tym częściej odwiedzali swe córki.

— Ta nasza pani synowa grzeczna i gładka jak puszka do zamrażania lodów—mawiała nieraz hrabina do męża.

— Zmarzlibyśmy moja żono, gdyby nie Eldzia i Lucyna. Prawda że z najbogatszą w tej stronie panną ożenił się Janusz, że wnuki nasze odziedzi-

czą po matce milijony, lecz my tego już nie doczekamy, a tymczasem—nudno i chłodno!

I prawda, że u młodych hrabiów było nudno i chłodno. Wprawdzie i stare hrabiostwo było etykietalne, lecz uścisk ich ręki mniej lodowaty i tryb życia mniej cudzoziemski. U nich i chodaczkowy szlachcic mógł się zapomnieć i rozsiąść na sofie, i takie dwie córki jak Eldzia i Lucyna nie zwiędły w pączku, lecz się rozwinęły w anielskie kwiaty. U młodych hrabiów ważyły się na szalkach i słowa—i uśmiech—i tytuły—by nie przestąpić granic zakreślonych dumą i etykietą. Janusz był gutaperkowy z natury i wychowania—Dyjanna marmurowa z natury i zasad. W zamczysku tak było serdecznie, tyle w każdym cierpieniu człek tam doznał pociechy, tak obie siostry były urocze dla oka i duszy, że zbliżający się do nich, choćby przez ciekawość, choćby z nudy, choćby przez chęć oszczerstwa, musiał unieść szacunek jeśli nie uwielbienie.

Czas płynął, rosła Stasia, podrosły i wychowanki Elfrydy, która dnie całe poświęcała wychowaniu dziewcząt, co już dawno zapomniały o swym sieroctwie. Nie mało miała trudu kształcić z różnych gniazd istoty: różnej natury i różnych rodziców dzieci różne miały przywary, które pro-

stowała Elfryda sercem, rozsądkiem i siłą swej woli.

Obie siostry osierocone niosły swój krzyż cicho, a poświęceniem i szlachetną pracą przypominały się swym ukochanym zmarłym. Lucynę słabszą duchem krzepiła Elfryda.

Dom ich nie był posępnym klasztorem, rozmowa—lamentacyją, życie—suchym morałem. Był tam i uśmiech i miła gawędka—i łza dla grzesznika i przytulisko dla biednych, a środki szczupłe—praca i Bóg sporzył.

Gdy pewnej wiosny Elfryda zapadła ciężko na zdrowiu, zjechali się sąsiedzi, zbiegli się biedni różnego stanu i wiary, a każdy prosił Boga o zdrowie dla niej.

— Zginiemy bez niej jak pszczółki bez matki—mówili płacząc ubodzy i błagając doktora aby ją ratował.

Bóg wysłuchał modły, minęło niebezpieczeństwo, radość była wielka domowych i zadomowych. W dzień jej piérwszego wyjścia na ganek, biedni ofiarowali jej olbrzymi bukiet z piérwszych wiosennych fijołków. Żydzi przynieśli ogromny piernik z datą jej wyzdrowienia. Kmiecie w imieniu gminy ofiarowali świeży rój pszczółek, jako

godło pracy, dostatku i słodyczy życia. Sąsiedzi ułożyli symboliczny transparent; domowi pod dyrekcyją gęślarza powitali ją starą, rzewną pieśnią. Słów na podziękę zabrakło Elfrydzie: dziękowała łzami i pragnieniem, by odsłużyć ludziom za tak serdeczną życzliwość.

XII.

Jak wietrzyk listki różane unosi,
Tak żal uniosły na skrzydłach amorki,
A maskę skruchy motylek podnosi,
Choć usta szepcą psalmy i paciorki.
Pobożna rączka różaniec przesuwa,
Pamięć oblicza—walce i kadryle,
Przyszłość kwieciste obrazy nasuwa,
Dosyć już marnieć w pokutniczym pyle!

Niestety!—już wdzięki ks. Emmy, wdowy od lat kilku, skłaniały się ku zachodowi; spadały z jej lica róże i *lilije*, ciemniały perłowe ząbki, płowiały karminowe usta, gasły ogniste źrenice, rzadniały krucze warkocze, żółkniało alabastrowe ciało. Spotykały już ją nieraz złowrogie słowa:

— Jak księżna dziś ślicznie wygląda!

Były więc i dnie fatalne, w których źle wyglądała. Już księżna częściej odwiedza kościoły, obfitsze daje jałmużny, czuje że świat już jej daje jesienne pożegnanie, że wiosenne kwiaty już przekwitają dla niej! Żal gorzki do ludzi ogarnia ser-

ce Emmy, świat zamienia się w jej oczach w olbrzymi krzew ciernisty, obrastający w piłoun i zgangrenowane kwiaty. Dwie lekkie zmarszczki w około ust, gdzie amorki igrały, i dwie w około oczu, w których mieniły się dyjamenty i szafiry, zaczęły zastraszać Emmę. Ubierając się raz na bal przy blasku drogich kamieni, wśród woni kwiatów, w krysztale zwierciadeł, ukazały się wyraźniej te cztery zwiastunki jesieni. Cisnęła o ziemię dyjamenty, rozbiła zwierciadło, zdmuchnęła światło, i upadła na sofę z płaczem i rozpaczą. Przerażone sługi nie mogąc pojąć co się dzieje z ich panią, posłały po doktora.

Emma zmieniona jakby po ciężkiej chorobie, nie pojechała na bal, i wyegzaminowawszy ściśle te cztery zmarszczki, postanowiła pożegnać uciechy tego świata. Przypominała w samotnych chwilach mnóstwo symptomatów fatalnych—i pierwszeństwo, od niejakiegoś czasu, oddawane na balach księżnej Matyldzie, i poziewanie hrabiego Anatola w poufnej z nią rozmowie, i zaręczanie modniarek, że jej ten strój do twarzy, i tryumfujące uśmiechy przekwitających piękności, i wiele innych oznak zachodzącego już słońca. Po kilku bezsennych nocach i tyluż dniach samotnych,

ukazał się jeszcze wróg jeden:—oto włos biały między pukłami lśniącemi jak heban.

— Boże! za co mnie tak karzesz?—zawołała Emma zalewając się łzami.

Od tej chwili mając siebie za najnieszczęśliwszą istotę, za wygnankę z raju, postanowiła zamknąć się w odludnym miejscu i oddać się modlitwom. Emma dwoje dzieci podrostków umieściła na sławnej pensyi w Paryżu, a sama z również nieszczęśliwą swą przyjaciołką, margrabiną Leoniją, którą wśród blasku wdzięków skrzywdziła ospa—opuściła Paryż.

W rok później, opuszczone opactwo w górach pirenejskich dało przytułek czterem samotnicom. Jedna wdowa—księżna Emma, druga separatka—margrabina Leonija, trzecia rozwódka—baronowa Lukrecyja, czwarta penitentka—hrabianka Ida. Charaktery i przygody czterech soliterek, choć na pozór różne, z jednego pochodziły źródła. Księżna Emma patrzyła na świat i życie jako na świetną ucztę do której los powołuje tylko wybranych; niepowołani i odepchnięci, powinni popiołem posypać głowę i umknąć od świata. Życie Emmy nie miało chwil burzliwych; unikała wielkich wzruszeń, jak się unika gwałtownych ciągów powietrza. Obdarzała tylko swych wielbicieli różanym

licem, błyszczącym okiem i czarownym uśmiechem Gdy zbladła owa trójca, gromada wielbicieli zaczęła pierzchać, poczuła smak pieprzu w uczcie, a na przekorę losowi i wybranym, umknęła od nich. Miłość macierzyńska była dla niej tylko postną przyprawą do uczty życia; dzieci jej stały na ostatnim daniu gdy starość zawita, gdy przestanie być koroną salonów i elektryczną iskrą salonowych próżniaków. Emma z natury była dobrą i szlachetną, lecz dobroć nie wykształcona była jak zamorek w kwiecie. Od pierwszych wrażeń i ich kierunku niecraz przyszłość człowieka zależy. Emmę hodawano jak drogie cacko dla ozdoby świata. Mąż dumny z jej wdzięków, poglądał na nią jak na najpiękniejszą perłę; świat ją otaczający czcił jak cudną huryskę, przeznaczoną do siódmego nieba. Gdy cacko zaczęło powszednieć, perła żółknąć, a siódme niebo przemykać, Emma zbrzydziła sobie świat, zwątpiła w ludzi, zlękła się ich szyderstwa i została soliterką.

Margrabina Leonija, córka dewotki i starego, przesądnego szlachcica, wydana zamąż za dyplomatę. Matka jej praktykująca wiarę bez uczynków, ojciec w kastowym zawarty kółku, mąż w ciągłym menuecie z suchą dyplomatyką, przejmowali chłodem myśl jej młodocianną. Serce

Leonii czekało długo uczucia jak skowronek wiosny, i raz—omyliło się ciężko, sądząc że juz może śpiewać i bujać w wiosennym powietrzu. Wśród tych czarownnych piosnek, ospa zawitała na nadobne lica. Gdy powstała z choroby, mąż dyplomata z ironiją powiedział.

— Potłucz teraz wszystkie zwierciadła.

Ukochany rzekł chłodno:

— Zmieniłaś się do niepoznania.

Swiat piękny szeptał z żalem:

— Biedaczka!—już wszystko dla niej stracone.

Scieżka różana życia zmieniła się dla Leonii w łzawy i ciernisty manowiec. Niepiękną żyć nie umiała—niepiękną kochanek niepoznał; niepięknej świat modny nie chciał; niepiękną mąż wyszydził. Przerażona że już nikomu na nic nie potrzebna, uciekła od świata i została soliterką.

Baronowa Lukrecyja, córka matki marzycielki, ojca marnotrawcy, żona przemysłowca. Oderwana przez matkę od ziemi, wtrącona przez ojca w krainę cyfer i rachunku, nie umiała utrzymać harmonii ciała z duchem, zbliżyć ziemię do niebios. W marzeniach podobłocznych, przyprawnych smakiem niebieskich migdałów, które nierosły na jej ojczystej giermańskiej ziemi, czuła wstręt do rzeczywistości. Mąż chciał w niej mieć tylko towarzyszkę

prozaicznej pracy; matkę dzielącą pod miarą *buterbroty* dzieciom, buhalterkę akuratną przychodów i rozchodów, oraz familijnę pończosznicę. Taka łatanina sprzecznych wzajem przymiotów, zbrzydła obojgu małżonkom; mąż widział w żonie próżniaczkę, której duch lubił bezcelowe po obłokach spacery. Żona widziała w mężu automata z cyfrą arytmetyczną na czole, z rejestrem rachunkowym w sercu. A oboje winni—bo konieczności i warunków życia nie umieli odziać promieniem oświeconego ducha, idąc omackiem po drodze żywota, podpierając się jednostronną prawdą po swojemu. Po kilku latach westchnień żony i kwasów męża, na falach wzajemnego niesmaku i niesmaków, wypłynął na wierzch rozwód, jako jedyna w rozbiciu ucieczka. Lukrecyja zrażona do ludzi została soliterką.

Hrabianka Ida raz piérwszy w czeskiej Pradze otworzyła na świat swe dziecięce oczy. Po śmierci matki, wywiozła ją z kraju bogata ciotka zamieszkała w Wiedniu. Rychło dziewczynka zapomniała matczynej mowy, a rodzinne miasto, jak pomnik w pomroce, słaniało się w jej pamięci. Ładna, świetna, skoligacona, miała rój pretendentów. Między innemi, był i czech Wratysław, czystej duszy, nieskalanego serca, oświecony lecz niebo-

gaty młodzian. On kochał Idę bezinteresownie, kochał w milczeniu, zdaleka, czcił ją jak anioła. Ubrał ją we wszystkie cnoty i wdzięki i poślubił w duchu na zawsze.

Ida w dwudziestym roku życia, wśród zabaw i pokus, padła ofiarą złego ducha, mającego ciemne oczy, czarny wąsik, aksamitny język i miedzianne czoło. Zły duch zaśmiał się aż na dnie piekieł z upadku Idy, pretendenci jak kamfora znikli, świat modny ją odtrącił, Wratysław przebaczył, zabił zwodziciela i sobie życie odebrał.

Ida opłakując śmierć zwodziciela, znienawidziła mściciela pamięć. Damy modnego świata nie mogły długo zapomnieć pięknego wiedeńczyka, co był duszą zabaw, kalamburów, wynalazcą nowych figur w tańcu, miłym kusicielem, spowiednikiem i *rozgrzeszycielem* miłostek. Pogrzeb jego był świetny: świat piękny w żałobie, jakby po zgonie bohatera, opłakiwał śmierć tragiczną jednego ze swych członków.

Garstka przyjaciół złożyła w dole grobowym zwłoki Wratysława, którego życie jak rozbita lutnia, nie mogła już stron dostroić do właściwej nóty.

Zmienionej i skompromitowanej Idzie radziła ciotka na czas jakiś usunąć się od świata, nim no-

wy wypadak nie zajmie uwagi modnej społeczności.

I tak przypadek zbliżył te cztery kobiety, co się wyniosły ze świata, szukając z nudą i goryczą religijnej karyjery.

Szeroka popielata suknia krojem habitu ckryła kształty melancholicznych syren; zasłona z czarnej krepy przysłoniła włos ich pachnący. Część modnej odzieży rozdały pomiędzy ubogich; klejnoty zamknęły za cztery klucze; jedna tylko sługa, również upokorzona przed Bogiem a zniechęcona do ludzi, jakaś ex-aktorka z desek prowincyjonalnych, poświęciła się na usługi czterech soliterek.

W starym opactwie cicho i ubogo, ściany nagie, żadnych świecideł ani wspomnień świetnej przeszłości. W celach po zakonnemu: krzyż, trupia głowa, klepsydra, nabożne księgi, twarde łóżko i komoda prostej roboty. W refektarzu tylko zbytkowniej: obrazy świętych w bogatych ramach, podzwrotnikowe rośliny w kosztowych wazonach, urny alabastrowe, a w nich popioły listów światowych i serdecznych, spalonych jako ofiara; harfa żałobną przykryta zasłoną, portrety soliterek osłonięte gazą, w ramach z palm i cierni – jako symbol cierpień, i fortepijan przy którym co ranek i wieczór śpiewały soliterki pobożne pieśni.

Jedzenie ich skromne, najczęściej postne, pacierze do godzin przywiązane, robótki ręczne na cel ubogich użyte, praca własnoręczna w ogrodzie owocowym i warzywnym.

Kapelanem soliterek był ojciec Stanisław, szarugami czasu zagnany w te strony. Oczy jego modre pełne zapału; włos jasny niedbale rozrzucony, ocieniał wysokie, zadumane czoło; twarz chuda i blada zapłonęła niekiedy ognistym rumieńcem i znowu zbladła, a płomień gdzieś ginął w przepaściach samotnej duszy.

Tak płynęły dnie soliterek jednostajnie, aż ich usposobienia i wotum chwiać się zaczęły. Księżna Emma po dwóch samotnych latach ujrzawszy przypadkiem w zwierciadle jakby odnowione swe lice, zaczęła tęsknić do świata. Regularne życie, balsamiczne wsi powietrze, dobrze wyspane noce, proste i zdrowe pokarmy, duch spokojniejszy, zaczęły gładzić fatalne zmarszczki. Wspomnienia świetnej przeszłości jak złocone widma zaczęły ją nawiedzać. Wyciągała do nich swe białe ramiona, lecz spojrzawszy na krzyż, trupią głowę i zakonną klapsydrę, spuszczała oczy szepcząc pacierze. Ale gdy coraz milsze zjawiały się widziadła, gdy amorki dokoła igrać zaczęły, by nie wystraszyć tych miłych gości, przykryła

trupią głowę róż wieńcem, a klepsydrę złocistą siatką. Jednej nocy po dniu tęsknym śniła Emma bale, maskarady, spacery, opery, i snem przeniesiona w błyskotną przeszłość, zaczęła śpiewać jakąś włoską pieszczoną aryją. Zbudziły się towarzyszki i pod czarem wspomnień wbiegły do celi Emmy. Wpół senna z rozrzuconym włosem siedziała na łóżku rozmawiając z widmami. Migotała alabastrowa lampka oświecając półcieniem ubogie schronienie ex-modnej i pięknej pani. Zbudzona z marzeń, pół gniewna, pół zawstydzona, wymawiała swym koleżankom że ją szpiegują we śnie. Lecz niedługo porozumiały się z sobą soliterki, wyznając półgębkiem swą tęsknotę do przeszłości, do czego każda miała ważny powód. Margrabina Leonija, zaczęła zapominać o krzywdzie jej wyrządzonej przez fatalną ospę; zostały jeszcze piękne oczy, białe ząbki i mała nóżka, a przybył wyraz melancholiczny, nabytek ciszy i rozmyślania.

Baronowa Lukrecyja marzyła do przesytu wśród samotnej ciszy; każdy powiew balsamicznego wiatru był dla niej jękiem wyrojonego kochanka, śpiew ptasząt orkiestrą miłośnych cherubinów, woń kwiatów przedsionkiem do raju. Lecz te marzenia nie podsycane rozmaitością przedmiotów, zaczęły

powszednieć, nudzić i obdzierać do ostatka jej serce z prawdziwej czułości.

Hrabianka Ida mając gorzkie ostatnie wspomnienia, chciała już nic nie kochać, nic nie żądac i szydzić z miłości, i mścić się za ból bólem. Zaledwo różanemi usty dotknęła czary ziemskiej rozkoszy, brzegi obrosły cykutą i wzgardą ludzi. Bawić się z nią tylko umieli, a gdy nadszedł dzień czarny wstydu i poniżenia, wytrącili ją z koła jako kwiat zdeptany. Niewiedziała biedaczka że jest wielkim nieszczęściem nic nie kochać, nic nie żądać, a większym jeszcze miłość w karykaturę zamieniać i płacić za ból bólem.

Na zewnątrz nic się nie odmieniło w opactwie; w regułach i nabożeństwie trwały soliterki, podczas *konferencyi* płakały zawsze, lecz ojciec Stanisław chociaż nieznał kobiet, odczuł, że ta ich samotność jest tylko baletowym skokiem z krain świetnej nicości na poswięcone gruzy.

O obowiązkach żon i matek mówił ojciec Stanisław, jak światły przyjaciel ludzkości. Wzdychały soliterki, wilgotniały oczy Emmy, dzieci obcej powierzone opiece stawały jej na myśli, serce wzbierało matczyną tęsknotą. Lecz znowu cichło, uraza do świata brała przewagę, a przykre wspo-

mnienia zmiatały rozczulenie, jak wiatr zmiata z fal pianę.

Robak był w sercu tych kobiet, hołdownic próżności—Emmy jako matki nie mógł stoczyć do dna. Ida jako najmłodsza i rażona piorunowym ciosem spopielała na pozór, lecz w głębi jej serca była jeszcze iskra—Leonija przestawszy być piękną nie umiała być kobietą, matką nie była, a błoto jakim ją obrzucił kochanek rozeszło się szeroko po jej sercu i życiu. Lukrecyja nie kochała nigdy nikogo; przemarzyła i przedziwaczyła wiosnę i lato, w jesieni nie stało już marzeń, zostało tylko dziwactwo i serce zużyte czczością.

Z początkiem trzeciego roku, znaczne odmiany wcisnęły się do życia trzech soliterek. Znudził je szary kolor poważnej sukni, ubrały się w fiołkową, mniej do habitu podobną. Czarna krepowa zasłona ustąpiła miejsca białej gazie, przez którą jak przez majowy obłoczek świeciły sztucznie utrefione włosy. W celi przybyło zwierciadło, kwiecisty przy łóżku kobierzec, klęcznik wybity aksamitem i kilka innych wygódek. Trupia głowa i klepsydra stały w ukryciu, a pragnienie ciszy zaczęło znikać, jak pyłek na chwilę oświecony słońcem ginie znowu w ciemnościach. I soliterki znacznie się zmieniły. Więdnące ich kształty zaczęły się zaokrąglać, ble-

dnące usta różowieć, żółkniejące lica bieleć, a włos biały chociaż przez te lata doczekał kilku towarzyszy na głowie Emmy, krył się jakby ze wstydu między krucze sploty. Tylko w Idy stroju, celi i twarzy nie zaszła żadna odmiana, lecz zmieniało się serce i pragnęło skruchy. Myśl jej tak dawniej znikoma brnęła dziś przez zaklęte koło, w którym od dzieciństwa żyła. Między nią a przeszłością rozwieszał się całun okrywający dwa trupy. Jeden z ponurą twarzą, drugi z anielskim przebaczeniem stawały przy niej.

— Przebaczcie, przebaczcie! — wołała nieraz miotana zgryzotą.

Zwolna, za pomocą pracy skruchy i modlitwy, trup z piekielną twarzą od niej się oddalał, a cień z anielskim przebaczeniem częściej ją nawiedzał i uspokajał tchnieniem z wyższych krain.

Przy końcu trzeciego roku opustoszało opactwo; księżna Emma pojechała do Paryża, margrabina Leonija wróciła do Burgundii, baronowa Lukrecyja zamieszkała w Monachijum.

Emmę witali znajomi jako zmartwychwstałą, lecz z grobu co gładzi marszczki i marynuje młodość. Wróciwszy pomiędzy swoich bawiła się znowu urojona męczennica i wespół z niemi, jak bar-

wiste owadki, goniły jedno za drugim, jaśniejąc w sztucznych światłach, brzęcząc, skacząc, i ginąc w woni i dymie kadzideł.

Leonija wróciła do męża, zbogaconego jak Monte-Chrysto. Dawny kochanek z wybítym na polowaniu okiem, przestał być dla niej wiosennym skowronkiem, a przy piérwszym spotkaniu, powiedziała mu z uśmiechem:

— Zmieniłęś się pan do niepoznania.

Gdy już nie mogła być piękną została bogatą, a w bogactwie odznalazły się wdzięki przez ospę skradzione.

Lukrecyja powiedziawszy sobie:

— I ja byłam poętą—zdjęła z siebie parnasową liberyją i śmiejąc się z ostatniego aktu życia w opactwie, obdarzyła tytułem małżonka piérwszego safandułę jaki się z brzegu nadarzył.

Idę, wezwała listem z czeskiej Pragi dawna przyjaciółka jej zmarłych rodziców. Znalazła w niej matkę, a pod opieką cnotliwej niewiasty, poczuła że już nie jest ani zdeptanym kwiatem, ani pyłkiem igrającym w promieniach słonecznych.

W lat parę Ida stała się godną zaślubić zacnego człowieka, a Bóg ją obdarzył liczną rodziną, któ-

rej przewodniczyła prostą i jasną drogą przez manowce życia.

Ojciec Stanisław wyruszył z księżmi francuzkiemi z misyją do dzikich krajów, a opuszczone opactwo nabył jakiś spekulant i w rękodzielnię zamienił.

XIII.

Ponieważeś letni, ani zimny, ani gorący, wyrzucę cię z ust moich.
Rad. Apoc.

Chce Pan gorliwego a żywego chrześcijanina, nie letniego, co to ani zły, ani dobry. Gil. Post.

Gdy ks. Emma wynurzyła się z pokutniczej szaty i odświeżona wróciła na salonowy paryski świecznik, siostra Izydora z mężem bawiła w Rzymie. Hrabiostwo przenosiło się co roku z jednej stolicy do drugiej. Gdy się wypoziewało w Paryżu jechało do Londynu; gdy się okatarzyło w Londynie jechało do Neapolu; gdy wypotniało w Neapolu ruszało do Wiednia; gdy się wynudziło w Wiedniu wlokło się do Carogrodu. A te wszystkie przejażdżki odbywały się bez zmiany w myślach, zdrowiu i twarzy. Miało hrabiostwo kilka maksymek w życiu, jako to:—unikać zmartwień i silnych wrażeń; nieszkodzić nikomu; kochać samych siebie przedewszystkim. Z taką receptą od bolów życia

jak od migreny, sunęli się pośród ludzi i dosuwali się wygodnie do granic życia.

Hrabia Leopold i siostra jego Zofija osieroceni w dzieciństwie. Zosia hodowała się u ciotki, a Leopoldek u babki, bogatej, światowej damy, pląsającej za młodu *pod Blachą*. Kochając jedyne wnuczę pragnęła dlań szczęścia i długowieczności. Gdy syn jej drażliwy i burzliwy zginął w pojedynku, postanowiła strzedz wnucze od wszelkich wzruszeń —ofiar—i śmierci. Jeżeli wnuczek zaśmiał się zbyt głośno drżała by nie zachorował; jeżeli broń-Boże, podskoczył chodząc, sadzano go na puchach, by zaraz wypoczął; gdy zaczął się gniewać i grymasić, dawano mu kupy najdroższych cacek by wnet go uspokoić. Gdy raz się przeląkł spostrzegłszy znienacka umarłego, wmówiono w chłopca, że śmierć zabiera *tylko* strudzonych i biednych, a omija grzecznie bogatych i spokojnych, jawiąc się tylko wówczas, gdy sami jej zapragną. Rosł tedy Leopoldek bogaty i spokojny nie trudząc się niczym, ani dla nikogo. Los dał mu za żonę filigranowej roboty lalkę.

Rodzice Izydory nie radzi ze swej najstarszej córki Elfrydy, której nie mieli czasu sami wychować, kształcili staranniej młodsze, Emmę i Izydorę. Różnica wszakże znaczna była między sio-

strami; Izydora miała leniwy i obojętny charakter ojca, Emma ruchliwy i kapryśny matki. Obie siostry miały po dwoje dziatek; synek Izydory podobniuteńki do ojca, chodził żółwim krokiem i niepofatygował się nigdy po nic dla nikogo. Słudzy przezwali panicza—różaną galaretą, tak był różowy, gładki i chłodny. Walerkę przezwali—wyrwiooczką, tak była żywą, serdeczną i dobrą. Podobna do ciotki Zofii, której Leopold nie mógł przebaczyć trzech nieprzyzwoitości popełnionych w życiu, jakoto:—poszła zamąż za biednego szlachcica,—nie unikała wrażeń i ofiar—umarła za młodu na cholerę opiekując się biednemi, których dotknęła zaraza.

Hrabiostwo nie szczędziło grosza na świetne wychowanie dzieci, lubo nauki przerywały się często wśród nieustannych podróży. Kanał Suezki raz pierwszy zadraźnił ciekawość hrabiego; Izydora została z dziećmi w Rzymie, mąż jej pojechał corychlej oglądać to dziwo. Gdy podczas morskiej podróży przerażająca burza zagroziła rozbiciem okrętu, bojaźń i śmierć tak silnie potrząsła zwykle spokojnym hrabią, że dostał bicia zapleśniałego serca, stracił przytomność do której już niepowrócił. Okręt i podróżni ocaleli, hrabia tylko padł ofiarą strachu i umarł na miłość dla samego siebie.

Izydora po śmierci męża wyrzucała losom cios ten niespodziany, a oczy nieprzywykłe do łez, a serce do bólu, nie mogły się dosyć wydziwić, dla czego Bóg tak nie łaskaw. We dwa lata potym, unikając kłopotów i trosk w interesach, wdowa dała dzieciom ojczyma, co jej zaprzysiągł na wszystkie świętości nie zmitrężyć niczym spokoju jej życia. Stało się jednak inaczej, gdyż na wsze strony targał jej spokojność, obudzał zazdrość, marnował fundusz, i dnia pewnego zabrawszy bilety bankowe, znikł jakby wpadł do wody. Ocknęła się Izydora, regularne jej serce poczuło nienawiść do rodu ludzkiego. Ruch ten gwałtowny podkopał jej zdrowie i wkrótce zaprowadził do grobu.

Jak się pokazało omylili się rodzice w wychowaniu swych córek Emmy i Izydory. U ich kolebki *postawili* na straży egoizm utytułowany szczęściem; rozpadły się spowijaki szyte złotą igłą, pękły ogniwa łączące niewiniątka z niebem, a stróż wykradł dziatki i złotemu cielcowi zaprzedał.

Po śmierci Izydory dzieci jej kształcić świat dokończył. Nieraz sieroctwo jest jedynym ratunkiem prostującym błędnie kształcone dzieci przez własnych rodziców.

Emma ex-soliterka, patrząc znowu na świat przez gazy i błyskotki, zerwała jeszcze kilka list-

ków różanych wróciwszy z opactwa. Lecz wkrótce jak żniejka smutna gdy plon lichy zbiera, tak Emma bez zdobyczy wracała z balów. Ani miodowych słówek, ani zaczarowanych spojrzeń nie składano jej w hołdzie; z zerdzewiałym berłem, z bezkwietną dłonią błąkała się jeszcze po różanych ścieżkach. Z tych błędnych wędrówek zbudziła ją śmierć córki wychowującej się w Szwajcaryi na pensyi. Wiedziała że niedomaga, miała już spieszyć, gdy ją zatrzymał jakiś karuzel. Dano znać znowu że niebezpiecznie chora, leciała przerażona, a widząc dziecko martwe i zsiniałe, upadła bezprzytomna wydając krzyk rozpaczy. Wszystkie głosy sumienia, wszystkie głosy serca wydobyły się spod zawały światowej, wołając matkę na pogrzeb dziecka.

Po długiej i ciężkiej chorobie, po łzach skruchy i gorącej modlitwie, Bóg pokrzepił zbolałą matkę. Został jej jeszcze jedyny synek, którego ulokowawszy w Krakowie, wróciła na wieś uporządkować swe dobra będące w nieładzie po sławnym agronomie niemcu, powierzyła je w poczciwe ręce światłemu wychowańcowi marymontskiej szkoły i odjechała do syna.

Po ukończeniu nauk uniwersyteckich, młody książe Ludwik udał się zagranicę, gdzie spotkał

księcia Bohdana co się dotąd nie ożenił. Samotny wśród świata, bez gniewu do losu co mu się przeciwił, bez urazy do Elfrydy co życia z nim podzielić nie mogła, bez klątwy na miłość co mu się odwzajemnić nie chciała, szedł drogą prawdy i obowiązków. Spotkawszy Ludwika wśród ludzi nauki i pracy, od piérwszego wejrzenia polubił go serdecznie. Oko młodzieńca przypominało mu Elfrydę, a w tym oku jak w świątyni sumienia było pięknie i czysto. Struna miłości brzmiała dla niego tylko we wspomnieniach, gdzieś spotkał czasem uśmiech Elfrydy, gdzieś dźwięki jej głosu, gdzieś jasność jej oka, lecz całości nigdzie. Szukał ją we wspomnieniach, szukał na niebiosach jakby tajemniczego anioła co mu się raz ukazał i skrył za gwiazdy. Młodemu Ludwikowi dał serdeczną życzliwość, kilka rad zdrowych, kilka punktów wskazał świecących w życiu.

Po trzyletniej podróży Ludwik wrócił do domu, osiadł na wsi i oddał się z zamiłowaniem nauce, rolnictwu i pracy.

XIV.

Gdzie swatem Baal a swacią Mamona,
Tam miłość ślubna złotem okupiona;
Tam zły duch siejąc piołuny i grzechy,
Wypędził cnotę spod domowej strzechy.

Gdy jedni spełniając prawo boskie i posłannictwo człowiecze dążą do doskonałości, inni przyrosłszy do ziemi zapominają, że postęp jest prawem każdej istoty i każdej rzeczy, a fałsz jako negacyja prawdy ostać się nie może. Do tych innych policzon Ernest Zakalec co się poraz trzeci oświadczył o rękę Elfrydy, a po trzykrotnej odmowie, ożenił się z panną z dalekiej strony. Córka właściciela niezliczonych stepów i bagien, wychowanka wschodniego zbytku, oddała Ernestowi swą mięsistą rękę w chwili, gdy na dobra jej ojca czyhali wierzyciele. Uświetnione imię Zakalców protekcyjonalną koligacyją, włożyło na Ernesta obowiązek występować świetnie i zabawiać swą poło-

wicę, przeniesioną na wieś z wielkiego miasta. Okolica zamieszkana przez młode baronowstwo miała jeszcze owych miłych próżniaków, myślących tylko jak czas i fortunę przyjemnie strwonić. Wykwintne obiady, bale, illuminacyje, fajerwerki, żywe obrazy podług gustu pani baronowej kosztowały nie mało. Bawiono się jak na Łysej-Górze, i nie jednemu z gości zdawało się, że ma w ręku dyjamenty, a gdy kur zapiał—pokazało się wcale co innego. Baronowa władała mężem, Gryzeldą i całym domem, gdy zaś jej chęciom stawała najmniejsza zawada, wyliczała figurantów w swym rodzie i groziła niemi. Gryzelda wówczas chowała pazurki, Ernest chodził jak bosy po grudzie.

Po kilku latach takiego życia, zmniejszyła się znacznie fortuna i garstka miłych próżniaków, bo w każdym zakątku zaczęli się ludzie zmieniać, i najmniej myślący uczuli przemianę czasu. Nudziła się baronowa po dawnych ludziach i dogryzała mężowi, a niesnaski doszły do tego stopnia, że Ernest przeklął chwilę, w której zapragnął protekcyjonalnej koligacyi.

Baronowa dla przepędzenia czasu jeździła w rodzinne strony, a za jej powrotem do męża przyleciał raz za nią swego gatunku motyl, i najzuchwalej w obec męża przymilał się żonie i siadał na je-

go głowie. Spędził baron natrętnika i wyzwał na pojedynek. Odleciał kryjomo przestraszony motyl, znikła i połowica, został tylko wstyd i ból głowy, jakby coś na niej niepotrzebnego wyrosło.

Papunio baronowej upominał się groźnie o sustentacyją dla nieocenionej, maltretowanej żony. Trzeba było dać chcąc nie chcąc połowę dochodu tytułem prawnej części, osobie której nigdy niekochał, lecz chciał z nią tylko brzęczeć po świecie, jak pęcherz z nasypanym grochem.

Straciła humor i Gryzelda, język jej skosmaciał, nie mogła już tak łatwo rozśmieszyć synowca, co otworzył swą duszę goryczy, a ona w nią weszła z całym swym dworem i rozgościła się jak w domu. Z mizantropii wpadł Ernest w cynizm, z cynizmu w ateizm, z ateizmu w pogardę samego siebie, z pogardy w obrzydzenie życia od którego uciekł na szczypcie arszenniku.

Żona odziedziczyła całą fortunę, gdyż znalazł się testament, którego nieboszczyk bodaj za życia nie pisał. Gryzelda przymilając się do nowej dziedziczki wyhaftowała prześliczną na aksamicie poduszkę dla nowego motyla, a wdzięczna wdowa zaleciła ją na guwernantkę do dzieci swojego brata. O jakże dziatki moralnie będą wychowane?!

XV.

Cnota się z człowiekiem nie rodzi, trefunkiem się nie nagodzi, kto jej szuka—w nią ugodzi.
Cn. Ad. 82.

Gdy się tak różnie plotło na bożym świecie, hrabia Pleśnicki umarł, hrabina poszła za nim niedługo, a umarli oboje z nudy i tęsknoty po świetnej przeszłości. Hrabia Janusz schorzały wpadł w dewocyją a synów swoich, podrostków, odwiózł do Metz na wychowanie. Żona jego wpadła w skąpstwo stając się nieznośną gderaczką, a w chłodnej sferze serca wyglądała jak posąg z lodu.

Lucyna nieodstępna Elfrydy, doczekała szczęścia swojej jedynaczki; siostrzeniec i wychowanek księcia Bohdana z nią się połączył.

Dwie wychowanki Elfrydy wyszły takoż zamąż, i ułomna Maryjka była narzeczoną, lecz przygody życia poniosły narzeczonego w inne dalekie strony. Mężowie wychowanic Elfrydy niepytali owia-

no znajdując w nich skarby, których ogień nie spali, a zły duch nie zabierze.

Elfryda przez dolegliwe przechodziła próby, kilka ciężkich niemocy ją nawiedziło; śmierć jej odebrała Monikę i gęślarza; pożar i nieurodzaje zachwiały jej szczupłą fortunkę. Wśród sieroctwa serca i łamania się z życiem, spokojną i kochającą była. Przygotowana stanąć na drugiej stronie grobu, nieodstawała sercem od doczesnego świata, nie lękała się zimowej pory życia, a w ciągłych ofiarach i pracy, krzepiła swą doczesną i wieczną istotę. Pamięć Zygmunta tak była świeżą w jej duszy jak w piérwszych dniach jego straty. Codnia dążąc do wyższego uzacnienia siebie, codnia pracując nad uszlachetnieniem swych bliźnich, częściej trafiała na żyżną niż na skalistą rolę. Część niech będzie siewcom i zasługa roli:

Bo pojąć życie, którym wyżsi żyją,
I wzbić się z niemi, gdy się oni wzbiją
Choćby raz w życiu—choćby nie na długo,
I to już pięknie, i to już zasługą!

K O N I E C.